

Jako słuchaczka radia, czasem mam pretensję do redaktora przyrządzającego poranny program. Zwłaszcza kiedy poranek jest szary i dzień zapowiada się pracowicie. Człowiek przekręca gałkę, a tu, jak na złość, symfonia albo rozdzielające zwierzenia piosenkarzy z dziedziny bardzo intymnej. Lubię muzykę poważną, przepadam za piosenkami, pełnymi dramatycznego napięcia. Ale właśnie rano, jakoś o wiele łatwiej jest mi, jak to się mówi, wziąć się w garść i zabrać do pracy, jeśli odprowadza mnie właśnie żywa, przyjemna melodia „piosenki dobrej na wszystko”.

Drobiazg? Zapewne. Ale suma podobnych drobiazgów wytwarza określony nastrój, klimat, w którym człowiek dobrze lub źle się czuje. Jego wewnętrzna energia może być wzmocniona lub przygaszona, a to ma przecież istotny wpływ na samopoczucie i pracę.

Po wyjściu z dobrego nawet filmu lub ze sztuki, którego gesta, przynębiająca atmosfera doprowadza człowieka do granic wytrzymałości, jesteśmy na ogół na dłuższy czas psychicznie „rozłożeni”. Podobnie dzieje się po zamknięciu książki, której bohaterowie szarpiają się w kręgu własnych obsesji lęku, samotności i kompleksów. Czy to nam, czytelnikom, pomaga żyć i działać?

A teraz z innej nieco beczki. Jakie pojęcie o „Kordianie” wyniesie

PROBLEMY XIII PLENUM

IRENA SOLIŃSKA

KULTURA „DOBRA NA WSZYSTKO”

przeciętny widz, jeśli ujrzy go w supernowoczesnej inscenizacji osadzonej w domu wariatów? Jakże walory poznawcze, jaki ładunek myślowy przekazać można w dziele artystycznym, potraktowanym przez twórcę, jako okazję do własnych spekulacji z pominięciem sposobu odczuwania odbiorcy?

Kształtowanie świata ludzkich myśli, przekonań, postaw, jest procesem bardzo skomplikowanym. Zaczyna się niemal w żłobku i trwa dalej, poprzez szkołę, uczelnię. A gdy wkraczamy w samodzielność, dokonuje się nadal przez pracę zawodową i społeczną, oraz przez cały zespół zjawisk kulturalnych: książkę, film, teatr, muzykę. Nie bez przyczyn więc tyle miejsca poświęcono im w obradach XIII Plenum. Nasi przywódcy nie kwestionowali poszukiwań warsztatowych, ani twórczości, dającej wypoczynek i rozrywkę. Ponieważ jednak ostatnio zachwiał się proporcje między

„normalną” produkcją artystyczną a „eksperymentem”, ponieważ ponad miarę rozszerzyła się tematyka marginalna i utwory o przynębiającym klimacie — zasłała potrzeba szerokiego i gruntownego zastanowienia się nad rolą i miejscem sztuki w państwie socjalistycznym.

Nie będziemy powtarzać też, przyjętych na Plenum. Przypomnimy tylko ich główne zasady: potrzebujemy takich wartości kulturalnych, które bezpośrednio lub pośrednio zbliżają nas do zachodzących w kraju procesów i przemian. Sztuka ma tę, fenomenalną właściwość, że trafia w najczulsze zakamarki człowieka. Na tym polega jej siła. Stąd troska partii o to, w jaki sposób siła ta będzie wykorzystana, o jej konstruktywne oddziaływanie. Stąd sugerowanie twórcom, aby ich dzieła, najogólniej mówiąc, mogły być polem między nami, statystycznymi widzami kin i teatrów, czytelnikami książek, abonentami telewizyjnymi — a tym, co się wokół nas dzieje.

Już Słowacki wytykał naszym przodkom cechy papuzie, łatwy zachwyt dla wszelkiego importu. Dla pewnej grupy osób i dziś, to co ma stempel „made in Zachód” lub „pod” ten znak, produkuje się na miejscu również i w dziedzinie sztuki, przyjmowane jest z poklaskiem, niezależnie od gatunku. Im coś jest bardziej pogmatwane, tym głośniej klaszcze grupa, sama siebie uważająca za wtajemniczonych. Ale ilu ich jest?

Jakże często po trudnym dniu człowiek szuka w sferze kultury oddechu, ubarwienia życia, poszerzenia horyzontów myślowych. Znam szereg osób, zwłaszcza młodych, które w literaturze szukają bardziej lub mniej świadomie wzorców moralnych, pomocy przy rozwiązywaniu własnych konfliktów (są ludzie, którzy konfrontują siebie z bohaterami przeczytanych książek). Szukamy i jakże często nie znajdujemy. A przecież — choć może to nie najważniejsze — za nasze pieniądze kreją się filmy i wydaje książki. Najważniejsze natomiast, wydaje mi się, że te filmy i te książki tworzy się dla nas.

A ponieważ radio gra i dla mnie, chciałabym prosić redaktorów porannych audycji, aby nie skąpili pogodnej „piosenki, dobrej na wszystko”...

tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 93 Poznań, 28 VII 1963 Rok III

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Lament na wesoło

W niezbyt bujnym życiu teatralnym naszego miasta, „Teatr 5” Stanisława Hebanowskiego zajmuje szczególne miejsce. Jest to teatr literacki, repertuarowy, dla którego rzeczą najważniejszą jest sam tekst i, co się z tym wiąże, granie utworów mało znanych, a oryginalnych, których nie mógłby podjąć normalny teatr masowy z braku odpowiednio przystosowanego widza. W programach Teatru „5” pojawiały się nazwiska: Platona, Bergmanna, Camusa czy Fontainall’a. Zaczęliśmy tego teatru było właściwie głośne — aktorskie czytanie tekstów scenicznych, co z resztą dyktowało niepokój nieaktorskich, klubowe warunki, w jakich się on narodził — w Klubie Plastików, a potem w „Od nowie”. Po przejęciu przez poznańską Estradę, na początku tego sezonu, teatr produkował się już w normalnych warunkach scenicznych w Teatrze Marcinek, raz na tydzień, w poniedziałki, gdyż korzystał z sił aktorów, związanych etatowo z pozostałymi teatrami.

Twórcą teatru, założycielem, inicjatorem i kierownikiem artystycznym jest Stanisław Hebanowski — długoletni kierownik literacki poznańskich teatrów, a ostatnio jeden z współtwórców sukcesu teatru zielonogórskiego.

Groteska sceniczna Michała Chorońskiego, „Lament”, która jest trzecią i ostatnią, w obecnym sezonie, premierą tego teatru, wystawiona została po raz pierwszy. Prapremiera w Poznaniu zdarza się bardzo rzadko. Komedia ta, którą można by za „Przekro-

TEATR

jem” nazwać makabreską, utrzymaną w surrealistycznym klimacie i nasroju niesamowitości, podany zresztą z przymrużeniem oka i na wesoło, jest tematycznie i formalnie niejednorodny. Pierwszy akt, który w zasadzie mógłby być odrębną jednoaktówką — to właściwie po trosze „Dom kobiet” — Nałkowskiej, na groteskowo — świadomie pozbawiony psychologicznej głębi, operujący schematycznymi typami — bardzo retoryczny i nowoczesny. Drugi akt — przypomina „Grupę Laokoona” Różewickiej; podobnie jak tam, diadzio traci poczucie piękna — tu pewien młodzieniec — traci światopogląd, co równie jest śmieszne, gdy mówi się o to z całą powagą. Ta, druga część „Lamentu”, niepomnienna inna, bardziej satyryczna i moralizatorska — sztydź, i to słusznie z bezideowości, pseudonowoczesności i przeintelektualizowania rzeczy najprostszych, ale jest mniej teatralnie ciekawa, od pierwszej, bardzo wiikiewiczowskiej w nastroju — inteligentnej, choć okrutnej w swym satyrycznym spojrzeniu na ludzi.

Aktorsko przedstawienie to jest co najmniej dobre. Wielką rolę ma Irena Masłińska, która gra wdowę po pseudopoezie — Dukowskim. Jest demoniczną, niesamowitą, a chwilami załamana i zmęczona życiem kobietą. Gra inteligentnie, ciekawie, a może nawet znakomicie. Jej sceniczną córką jest Aleksandra Koniewicz; gra również wdowę, zmysłową, poszukującą bezskutecznie kochanki, którym ma tu być Leonard Pietraszek. To on jest tym nieszczęśliwym, bezideowym młodzieńcem, któremu wszystko „smakuje, niczym”. Jest święty w pierwszym akcie, w roli zakłopotanego gościa, ale mniej przekonujący w drugim akcie komedii, w dramatycznej rozmowie z dwiema kobietami. Ciekawą postać kolejnej wdowy, tym razem po siólarzu, stworzyła Irena Osuchowska. Jej dialogi z panią Dukowską o zaletach i wadach nieboszczyków meźów, wzbudziły największy aplauz publiczności.

Głównym bohaterem spektaklu jest jednak Ildefons Houwal — scenograf „Lamentu”. Rzadko zdarza się oglądać — zrobioną z takim wyczuciem nastroju sztuki, oprawę sceniczną — która przez wykorzystanie gołowych, autentycznych, pogrzebowo-cmentarnych rekwizytów, stwarza nastrój niesamowitości, i świadomie uwypuklonego banału i złego smaku mieszczańskiego wnętrza, co bawi już przed wejściem aktorów na scenę.

EDWARD TOMCZAK

Gospodarna piękna i kulturalna

Była to inicjatywa Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich.

Przed pięć laty, na jednym z posiedzeń Zarządu Wojewódzkiego TRZZ w Zielonej Górze, ktoś podał myśl ogłoszenia konkursu pod hasłem „Ziemia Lubuska gospodarna, piękna i kulturalna”. Projekt, po pularnie mówiąc — „chwycił” i wkrótce z warsztatowego opracowania rozwinął się w szczegółowy regulamin. Założeniem było przede wszystkim pobudzenie całego społeczeństwa woj. zielonogórskiego do podejmowania czynów społecznych, uczestniczenia w aktywizacji poszczególnych miejscowości Ziemi Lubuskiej. Nie chodziło oczywiście o aktywizację wielkoprzemysłową. Regulamin przewidywał współzawodnictwo pomiędzy wioskami, miasteczkami i osiedlami, zakładami i instytucjami w społecznej pracy nad poprawą estetyki swojej miejscowości, rozwoju życia kulturalnego i gospodarczego.

Sceptycy wróżyli tej akcji fiasko. Optymiści czekali pełni nadziei. Rze rzeczywistość przeszła jednak najsmielsze ich oczekiwania. Już w pierwszym roku było ponad 100 zgłoszeń przystąpienia do konkursu. W następnym ponad 400, a obecnie w konkursie udział biorą niemal wszystkie zakłady pracy, szkoły, gospodarstwa rolne, prawie wszystkie miasta i wioski. Efekty są niespodziewanie duże. Społeczną pracą usunęli ślady wojny — gruzy, na wsi naprawiono ogrodzenia i drogi. Mieszkańcy sami naprawiają elewacje swoich domów, malują okna, zakładają zieleńce, sadzą drzewa i krzewy, remontują świetlice i domy kultury. Wartość tych prac oblicza się na wiele milionów złotych. I tak na przykład wartość prac społecznych wykonanych w ramach konkursu w 1961 r. przekroczyła 20 mln zł. Podobnie było w innych latach. Nie sposób jednak przeliczyć całości prac na złoto. W liczbach nie da się bowiem określić rezultatów prac związanych z podniesieniem estetyki oraz efektów wychowawczych i politycznych konkursu.

Wszędzie tam, gdzie dotarła idea konkursu wzrosła ofiarność społeczeństwa.

Konkurs „Ziemia Lubuska gospodarna, piękna i kulturalna” dzisiaj przerósł już możliwości organizacyjne swego inicjatora — Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Dlatego też w bieżącym roku dalszy jego rozwój przejął Komitet Frontu Jedności Narodu. Konkurs stał się własnością całego społeczeństwa Ziemi Lubuskiej. Społeczeństwa, które aktywnie uczestniczy w tym, aby Ziemia Lubuska była rzeczywiście gospodarna, piękna i kulturalna.

PIOTR ŻYCKI

Wszyscy jesteście... czym?

Z ZAPISKÓW ZRZĘDY

anegdocie o zegarku i Kowalskim: dwudziestu uczestnikom opisanej dyskusji, przy ładającej okazji, gdy pada nazwisko zdolnego inżyniera X, stają w pamięci fragmenty opowieści intryganta społecznego: nie pamięta się już zazwyczaj, czy Kowalski ukradł zegarek, czy zegarek ukradziono Kowalskiemu, lecz jedynie, że coś tam było z zegarkiem i Kowalskim (czytaj: z inżynierem X).

I w ten sposób uruchomione została przez intryganta społecznego swoje perpetuum mobile. Bo oto większość uczestników opisanej dyskusji — na ogół bezkrytycznie — powtarza przy okazji „rewelacje” intryganta o inżynierze X, choć nieraz z zastrzeżeniem, że „sprzedają, za co kupili”. Rzadko komu zaświta myśl, aby bądź to usiłować dociec, na ile opowieści o inżynierze X są uzasadnione, bądź też — z braku takich możliwości (co najczęstsze), po prostu nie kolportować na ogół wyssanych z palca historyjek, przeważnie krzywdzących dla zainteresowanego.

Usiłowałem odpowiedzieć na pytania: kim są intryganci społeczni i w jaki sposób działają. A teraz: po co to robimy i komu to służy? Myślę, że intrygantów społecznych można by podzielić na nie zdających sobie sprawy ze szkodliwości swego działania, i na działających świadomie. Nieraz intrygant społeczny jest po prostu bezmyślnym, a często przekornym, kolporterem, bądź producentem, czerpanych z sufitu albo monstrualnie wyolbrzymionych opowieści. Bywa, że powoduje nim podświadoma zawiść i niechęć do wybijających się, zdolnych jednostek. Głównym niebezpieczeństwem w działalności tego typu intryganta społecznego jest jego głupota i brak krytycyzmu,

*) Nie z racji ich niezawodowego traktowania się intryga, lecz z racji ich społecznej szkodliwości.



Sianokosy pod Tatrami

CAT — fot. Olszewski

Polscy archeolodzy odkryli skarby dla świata

Cud w Faras — pod takim tytułem londyński tygodnik „The Sunday Times Magazine” w numerze z 14 lipca zamieszcza wielki, 9-stronicowy, bogato ilustrowany, reportaż o światowym sukcesie polskiej ekspedycji prof. Kazimierza Michałowskiego.

Autorzy reportażu (A. Shore z Muzeum Brytyjskiego i Szwajcar dr Georg Gerster) podkreślają, że operacja ratownicza prowadzona obecnie u brzegów Nilu na granicy Sudanu i Egiptu rozpoczęła się w 1960 r., kiedy UNESCO ogłosiła apel wzywający do międzynarodowej współpracy dla ratowania historycznych zabytków architektury i sztuki przed wodami Nilu (tama Assuan). Wśród ekip, które przybyły z całego świata do Nubii, znajdowała się ekspedycja polska pod kierownictwem prof. Kazimierza Michałowskiego.

Ekipa polska rozpoczęła prace wykopaliskowe w Faras. Mieści się tam ufortyfikowany szlak ze sztucznym wzgórzem piaskowym, ciągnącym się wzdłuż rzeki. Na południowym końcu szlaku znajduje się arabski fort, który po stronie północnej sąsiadował

z resztkami klasztoru chrześcijańskiego pochodzącego z XII stulecia.

Piaskowe wzgórze od dłuższego już czasu fascynowało archeologów: przed 50 laty było badane i częściowo odkopywane przez wybitnego egiptologa oxfordzkiego Francisca L. Griffitha, który jednak pracy nie ukończył.

Polscy uczeni zdecydowali się rozpocząć atak od strony wschodniej. Wkrótce wykopali mały, zbudowany z cegły i przykryty kopułą grobowiec, zawierający groby 5 biskupów, którzy stali na czele diecezji w Faras w wieku XI i na początku wieku XII. Wewnątrz znaleziono zachowane w doskonałym sta-

Angielski tygodnik o prof. Michałowskim i „cudzie w Faras”

nie malowidła Madonny z Dzieciątkiem i Archanioła Michała. Ale prawdziwie rewelacyjne odkrycia miały dopiero nastąpić. Dalsze roboty wykopaliskowe wykazały, że grobowiec został dobudowany do wschodniej ściany katedry, ukrytej pod fortem arabskim. Świątynia miała 110 stóp długości i 95 — szerokości. W miarę postępu robót rosło napięcie. Spód piasku wyłoniły się malowidła ściennie. Pod względem wielkości i stopnia zachowania było to odkrycie nieporównywalne z innymi, co znaleziono dotychczas w Nubii. W sumie około 100 fresków.

I wreszcie, kiedy je zabezpieczano, okazało się,

że pod ich warstwą znajdują się malowidła wcześniejsze. Na wszystkich freskach znać wpływ Bizancjum, skąd religia chrześcijańska przywędrowała do Nubii. O tym, że są to arcydzieła sztuki bizantyjskiej świadczy m. in. przepychy detali kostiumowych, precjozów i skrzydła aniołów.

W jakich okolicznościach świątynia została ostatecznie porzucona — nie wiadomo. W XIII i XIV stuleciu chrześcijańskie królestwo Dolnej Nubii znajdowało się w stanie wojny z muzułmańską potęgą Egiptu. Być może, koniec Faras, jako centrum chrześcijańskiego, był powolną, przedłużoną ewakuacją i powolną agonią. Wiele jednak wskazuje na to, że upadek nastąpił w sposób nagły i dramatyczny.

Lista biskupów Faras, wypisana amentem na ścianie kościoła, zamyka się imieniem biskupa Jezusa, który zmarł na początku XII stulecia. Na kamieniu nagrobnym jednego z jego następców — biskupa Temera utracony jest rok 1181. Było to w okresie, kiedy inwazja armii Wielkiego Saladyna zerwała pokój z Egiptem. Na północy od Faras kościół w Qasr Ibrim został złupiony, biskup wzięty na tortury, a mężczyźni, kobiety i dzieci — mieszkańcy 700-letniego miasta wzięci do niewoli.

„Nagle opuszczony kościół — piszą autorzy reportażu — szybko zapełnił się piachem nawiewanym z okolicznych dunów. Kiedy obszar znów ufortyfikowano, świątynia została już pogrzebana pod 6-stopową pokrywą piachu. Pod nią przeżyła stulecia, aż do momentu, kiedy polscy archeolodzy odkryli jej skarby dla świata”. (KT-PAP)

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Polskie pióra

Jakaś świetna passa, ukazuje się dużo książek i dobrych. Oby tak dalej. Najbardziej cieszy, że szczególnie wariacje są prace polskich autorów. „Iskry” opublikowały bardzo ciekawe wspomnienia Joanny Żwirskiej pt. „Jaki masz pseudonim?”. Autorka, łączniczka AK, podjęła się trudnego zadania przedstawienia roli kobiet w ruchu podziemnym, łączniczki, kolporterki, a i kobiety bezpośrednio z bronią w ręku biorące udział w akcjach, odrywając na karłach tej frapującej opowieści, tak jak i odrywa czas trudnego życia, gdy każdej chwili igrało się ze śmiercią.

Również w „Iskrach” ukazał się debiut prozatorski młodego dziennikarza Andrzeja Szypułskiego. Książka jego „Miłość w grudniu” świadczy o dużym talencie i znacznym już stopniu dojrzałości pisarskiej. Opowiadania Szypułskiego obracają się w kręgu bardzo różnorodnej tematyki, zawsze współczesnej, sięgającej do zagadnień oby-

Z KSIĄŻKĄ NA TY

czajowych i społecznych. Dużo wnikliwości i humanitaryzmu.

W dorobku tej samej oficyny znalazła się książka Edwarda Kurowskiego „Nowa twarz Teresy”. Autor, w swoim czasie znany bokser, absolwent psychologii, dobrze zna ludzi i umie wczuć się w ich stany wewnętrzne. Powieść jego osnuta jest na problematyce psychologicznej o niemal sensacyjnym podłożu fabularnym (sprawa osobiwego samobójstwa młodej kobiety), ale nie o sensację autorowi chodzi, lecz o protest przeciw marnowaniu przez ośchłość i bezdušność prawych, pięknych charakterów, porywających się śmiało na walkę ze złem.

Z książki „Czytelnika” chciałbym zwrócić szczególną uwagę na nową, niedużą powieść Seweryna Szmaglewskiego „Puste miejsce przy stole”, gdzie autorka, wychodząc od ukazania uroczystości weselnej w starej śląskiej rodzinie górników, podkreśla ciągle jeszcze żywą w ludziach wojnę, odrywającą część w bardzo dramatycznych konfliktach. Szmagłewska potrafiła świetnie skulminować napięcie, przez to samo pogłębiając psychologiczną wymowę utworu, jakiś wielki wewnętrzny dramat ludzi, którzy wciąż muszą pamiętać, choćby tego nawet nie chcieli...

PIW uraczył nas nowym tomem Adolfa Rudnickiego „Kupiec i łódź. Niebieskie karliki”. I w tym tomie jest cały Rudnicki, nieodmienny, a zawsze nowy. Ten sam krąg spraw, nabrzmiałych, bolących, wiążących się z przeszłością, z problemem żydowskim, a zarazem żywym, drapieżnym i zachłannym podpatrywaną współczesność, dzień najbardziej dzisiejszy. Doskonałe piśmielnictwo, wspaniałe odczucie bardzo niespokojnego tętna naszych dni.

W PIWie też ukazały się „Portrety i zapiski” Stanisława Piętała. Zupełnie to nowy ton w twórczości tego cenionego autora. Piętał snuje tutaj wspomnienia, zarazem oddaje się chęciom ukazania znanych sobie zjawisk w ich sensie historyczno-literackim, kłóci się z sobą i godzi, sypie nazwiskami, nieznany mi faktami, czasy przedwojenne, bohema artystyczna Warszawy, a obok wspominki krakowskie, Cechowicz i Michalski, młodzi z wojennej grupy „Sztuki i Narodu”, wreszcie reminiscencje z czasów wojennych.

Najlepsze prace będą ogłoszone w zbiorze książkowym.

NAJWIĘKSZY SKANDAL WYDAWNICZY

„Kultura” zamieszcza list otwarty dr. Jerzego Holzera, adiunkta Instytutu Historycznego UW do dyrektora Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w sprawie opublikowanego niedawno w języku polskim i kilku językach obcych „Zarysu historii Polski” (Wydawnictwo „Polonia”, autorzy: prof. Stanisław Arnold — średniowiecze i doc. Marian Żychowski — dzieje nowożytne).

„Część „Zarysu” do końca XVIII w. świetnie napisana, ale zaledwie kilkadziesiąt stron, połączona została z częścią nowożytną (140 stron), porającą się od błędów wielkich i małych. „Zarys” stał się największym skandalem wydawniczym w dziedzinie historiografii lat Polski Ludowej. Dla przykładu podam tylko, że „według „Zarysu” Berlin zdobywali w 1945 r. Amerykanie, Anglicy, i Polacy. Natomiast udział wojsk radzieckich w tym wydarzeniu wynika tylko pośrednio z tekstu. Nie muszę chyba wyjaśniać w tym miejscu, że Amerykanie i Anglicy Berlina nie zdobywali”.

J. Holzer wymienił dla przykładu w swym liście otwartym aż 20 merytorycznych błędów. Swoją list kończy słowami:

„Trzeba (...) Czytelnikowi jasno powiedzieć, że nowożytna część „Zarysu” jest wyjątkowym okazem braku odpowiedzialności autorskiej, a za chwalenie jej przez recenzentów wyjątkowym okazem braku odpowiedzialności recenzentów”.

LEKTOR

W studiach filmowych i na ekranach

FESTIWAL FILMÓW POLSKICH W GOIANII

W pierwszej połowie lipca w stolicy stanu Goiás-Goiarii odbył się Festiwal Filmów Polskich, który został uroczystie otwarty przez rektora Stanowego Uniwersytetu. Należy dodać, że był to pierwszy festiwal filmów zagranicznych w Goianii. Festiwal Filmów Polskich odbył się poprzednio w Sao Paulo, Rio de Janeiro, Santos, Kurytybie, Porto Alegre, Belo Horizonte i w mieście Brasilia wywołując wszędzie wielkie zainteresowanie polską sztuką filmową. Szczególnie podobały się filmy „Krzyżacy” i „Matka Joanna od Aniołów”.

„JAK BYĆ KOCHANĄ” W SOFII

W sofijskim kinie „Blagowest” odbyła się w tych dniach premiera filmu Wojciecha Hasa „Jak być kochaną”. Publiczność bułgarska przyjęła film niezwykle ciepło, a obecnemu na sali Zbyszkowi Cybulskiemu zgotowała serdeczną owację.

„CUDOWNY ŚWIAT BRACI GRIMM” W CINERAMIE

Od pierwszych dni powstania przemysłu filmowego, a więc od przeszło 60 lat, dzieje „Kopciuszka”, „Tomcia Palucha” czy „Siedmiu karzełków” inspirowały producentów i przyciągały miliony widzów. Te stare baśnie ludowe nie uległy zapomnieniu dzięki działalności Jakuba i Wilhelma Grimmów.

Zafascynowani starymi balladami i opowieściami, przekazywanymi ustnie z pokolenia na pokolenie, bracia Grimm spędzili wiele lat zbierając baśnie i pisząc je na nowo. W latach 1812-1815 bracia Grimm opublikowali baśnie, zdobywając jednocześnie sławę i fortunę. Ich opowieści są do dziś drukowane we wszystkich prawie językach świata.

W tych dniach w londyńskim „Coliseum” odbędzie się premiera, realizowanego od dwóch lat przez Henry Levina, filmu cineramicznego „Cudowny świat braci Grimm”. Film jest opowieścią o ich trudnych początkach, długoletnich poszukiwaniach i końcowym triumfie. Wpleciono w niego kilka baśni. Postacie wielkich bajkopisarzy odtwarzają Laurence Harvey i Karl Boehm. Zdjęcia nakręcone były w starych zamkach oraz we wsiach Nadrenii i Bawarii.

Le pareil, s'il vous plaît! — dziecko kładzie na ladę kilka drobniaków i podaje sklepi-karzowi pustą butelkę. W zamian dostaje taką samą lecz pełną. Na etykiecie napis: „Vin à table 11%”.

Ten typ transakcji dokonuje się w spożywczych sklepach Francji z częstotliwością sprzedaży bułek i sera. A może nawet częściej. Co chwila wpada do sklepu dziecko, robotnik, urzędnik czy pani domu z pustą butelką, a zabiera w zamian pełną.

Czerwone wytrawne wino, w najtańszej swej postaci, tak zwane „wino stołowe”, jest we Francji produktem numer jeden. Jest też tanie. Tańsze od wody sodowej, oranżady czy piwa. Obywatel czy obywatelka Piątej Republiki pije go codziennie pół literka. Taka jest obiadowa norma. Od tego są odchylenia w górę.

Francja przestałaby być Francją, gdyby zbrakło w niej wina. Butelka z czerwonym płynem to nieodłączny rekwizyt francuskiego krajoznawcy. Widzi się go na wystawach sklepowych, w zaciszu domowego ogniska, na piknikach, w parkach czy na ulicach. Służy do gaszenia pragnienia, uspokojenia nerwów, rozweselenia, trawienia. Spełnia tę rolę, którą w Anglii spełnia herbata. Małym dzieciom daje się wino wysokiej jakości. Po lyżeczce. Na wzmocnienie.

Charakterystyczny paryski mędzarz — nie żebrak, czyli clochard, wyrzekający się dobrowolnie wszystkiego, nie wyrzeka się wina. Czio-wiek, który porzucił dobra tego świata, nie porzucił jednego — wina i sera. Skąd je zdobywa, skoro ani nie pracuje, ani nie żebrze? To już jego tajemnica.

„STO PAR WOŁÓW” — NOWY FILM PASOLINIEGO

Znany reżyser włoski Pier Paolo Pasolini, wraz z pisarzem Albertem Moravia i wybitnym psychoanalitykiem włoskim Cesare Musatim, przy-stąpili do realizacji nowego filmu „Cento paia di buoi” („Sto par wołów”). W opracowaniu scenariusza brali również udział pisarze, prawnicy i malarze. Będzie to utwór wymierzony przeciwko ignorancji i hi-

EWA BERBERYUSZ

In vino (nie zawsze) veritas

Clochardzi są bractwem starym, tak starym jak Paryż. Podobno wywodzą się z wczesnych wieków średniowiecza, kiedy to z okolicznych pół lodziami przywożono żywność do grodu położonego na dwóch wysep-kach Sekwany. Płody ziemi loko-wano na wielkim targowisku. Przy wyładunku czatowali już clochardzi i skrzętnie zbierali to, co spadło na ziemię.

Choć z małych wysepek miasto rozrosło się na obu brzegach rzeki w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, choć barki „na pych” zastą-

KORESPONDENCJA WŁASNA Z PARYŻA

piono motorowcami i ciężarówkami, miejsce i proces pozostał ten sam: co noc odbywa się w Les Halles rozładunek żywności, co noc wiele wszelkiego jadła tarza się po ziemi i staje się łupem clochardów.

Francuscy burżuazy nie lubią, gdy obcy turyści łączą Paryż z postacią clocharda. Buntuje się przeciw temu ich poczucie własności, ich filisterski styl życia. „Dlaczego turyści biegają oglądać tych wykołheńców?” — pytają z niesmakiem.

Niedawno prasa paryska informowała o procesie, jaki toczył się przed paryskim sądem kryminalnym. Kobieta, baba-jędra, zamordowała clocharda, który układał się do snu

pokryzji panujących w sferze życia seksualnego. Obraz, oparty na licznych dokumentach, materiałach statystycznych, wynikach ankiet itd., pozostanie jednocześnie filmem fabularnym.

POWRÓT INDIAN — „WESTERN” JOHNA FORDA

Wybitny reżyser amerykański John Ford przystąpi w październiku

w pobliżu jej domu. Wedle konstytucji policja nie może interweniować w takich wypadkach: każdy ma prawo spać, gdzie chce, w miejscu publicznym. Podobno psuł jej widok z okna i śmierzdział.

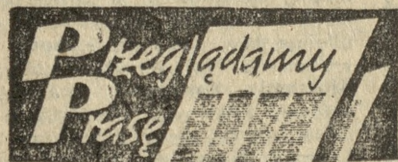
„Nawet wina nie pija?” — zeznała na procesie zgorzchna morderczyni, nie okazując najmniejszej skruchy.

Paryż godzi w sobie wszelkiego typu formacje socjologiczne: od burżujów w klasycznym wydaniu, przez całą plejadę cyganerii i kosmopolitycznych agentów różnych podejrzanych zawodów, aż do clochardów, którzy swym życiem demonstrują pogardę dla cywilizacji, postępu, pieniądza. To wszystko żyje w tym wielkim tyglu ludzkim, jakim jest Paryż, w mniej lub bardziej harmonijnej symbiozie. Co łączy tych ludzi? Socjolog znalazłby wiele stycznych, a wśród nich nie najbliższą rolę cementującą odgrywa powszechny zwyczaj picia czerwonego, wytrawnego wina.

Nie pomaga propaganda antyalkoholowa (zresztą, bardzo powierzchowna), nie pomaga zwiększający się zastraszający bilans wypadków drogowych, po których, jak mówiw Francuzi, rozbitny wóz „zostaje w scenarii”, nie pomaga narodowa już choroba przewodów zólciovych i wątroby. Francuzi piją, piją i tylko w razie potrzeby ratują się jogurtem. Ale jogurt to już specjalny rozdział.

Do nowego filmu Ford zaangażował najwybitniejszych aktorów. Wy-stąpią w nim m. in. Spencer Tracy, James Stewart, Carol Baker.

(KT-PAP)



KONIN PO 40 LATACH

Sławny polski uczony, prof. dr Leopold Infeld, w artykule pt. „Dwa lata i dwa dni w Koninie”, zamieszczonym na łamach „Polityki”, przeprowadził konfrontację Konina sprzed 40 lat, miasta, w którym, jako 24-letni doktor fizyki, rozpoczął wykłady w szkole i kierował prywatnym gimnazjum, z dzisiejszym Koninem. Autor pisze o tym, co widział i jakie wyniósł wrażenia z rozmów i spotkań. Pisze o niesłychanym rozwoju przemysłowym miasta, o budownictwie mieszkaniowym, o ludziach, którzy to wszystko tworzą. W swoich wrażeniach znalazł również miejsce na krytykę: „Życie kulturalne Konina — z wyjątkiem radia i telewizji — jest na poziomie sprzed lat 40. W Nowym Koninie jest jedno malutkie kino. Nie ma sali teatralnej, która mogłaby pomieścić około 700 osób, gdzie odbywałyby się koncerty, przedstawienia, pokazy filmów, prelekcje. Dlatego izolacja kulturalna Konina trwa. Sekretarz Komitetu Powiatowego Partii tłumaczył mi, że dom kultury kosztowałby 8 mln zł, że za tę cenę można by wybudować tyle i tyle izb mieszkalnych. Starałem się polemizować. Ze przecież nie trzeba budować domu kultury od razu (...) Ze należałoby zrobić początek, powiedzieć o sasku teatralnym. Dyrektor ko-

palmi jest raczej mego zdania. Twierdzi, że z powodu tej izolacji kulturalnej ma trudności w angażowaniu wysoko kwalifikowanych inżynierów, nauczycieli do liceum górniczego”.

DWA XIX-LECIA

„Tygodnik Demokratyczny” publikuje artykuł Jana Karola Wendego pt. „Porównania i refleksje”. Przedmiotem rozważań jest przypomnienie niektórych zjawisk 19-letnich rządów endeckosensacyjnych i — na tym tle — porównanie dzisiejszych osiągnięć. Autor porównuje ówczesną i dzisiejsze zbiory rolnictwa, ówczesną i dzisiejszą produkcję przemysłową, pisze o pewnych zjawiskach politycznych Polski międzywojennej, polemizuje z ludźmi, stawiającymi z maniakim uporem obraz tamtej Polski za wzór dobrobytu, ukazuje wreszcie awans społeczny. „Miarą tego awansu jest (...) powszechność oświaty, nauki i kultury, którą charakteryzuje choćby porównanie 80 tysięcy dyplomatów szkół wyższych całego okresu międzywojennego (dziewięć-nastolecia z liczbą 300 tysięcy dyplomatów, wydanych przez wyższe uczelnie Polski Ludowej”.

Ciekawość i pouczający artykuł.

JAK ULEPSZYĆ SYSTEM INWESTYCYJNY?

To tytuł artykułu Jerzego Lasockiego w „Życiu Gospodarczym”. Problem o kapitalnym znaczeniu, bo przecież na inwestycje wydajemy znaczną część dochodu narodowego. Zdaniem autora — nie zawsze czynimy to w sposób racjonal-

ny, czego przyczyną są obowiązujące w tej mierze zasady i przepisy. J. Lasocki stara się w swym artykule odpowiedzieć na pytanie, jak uzupełnić i zmienić nasz system inwestowania, jak lepiej poznać potrzeby, jak zrezygnować z metod niepozwalających na optymalną działalność inwestycyjną.

„Jedną z ważnych przyczyn opóźnień i zahamowań realizacji inwestycji są braki we właściwym czasie niezbędnej dokumentacji projektowo-kosztorysowej. Dlatego też wprowadzona została zasada, iż do planu inwestycyjnego mogą być włączone (z nielicznymi wyjątkami) tylko takie inwestycje, dla których inwestorzy posiadają zatwierdzone dokumentację w roku poprzedzającym rok ich realizacji”.

KONKURS: „MÓJ ZAKŁAD PRACY”

W ostatnim numerze „Życia Gospodarczego” redakcja tego tygodnika ogłosiła konkurs na temat: „Mój zakład pracy”, w związku z przypadającym w przyszłym roku XX-lecie Polski Ludowej. Redakcja sugeruje, że tematyka konkursu powinna obejmować takie zagadnienia, jak: przełomowe momenty w rozwoju zakładu, trudności i osiągnięcia w walce o polepszenie wyników ekonomicznych, zawodowy i społeczny rozwój załogi, stosunki między pracownikami, wpływ zakładu pracy na życie ludności danego terenu itp. Termin nadsyłania — koniec stycznia 1964 r. pod adresem redakcji (Warszawa, ul. Hoża 35). Bliższe dane o składzie jury i wysokości nagród, o publikowaniu zostaną w terminie późniejszym.